

jasne, bo trzymałem się tylko tych punktów, które są zacze-
pione, i nic więcej.

Senator Gaszyński: — A zmniejszenie żołdu? ¹⁾

— Ja mogę złożyć tylko takie oświadczenie: przeciwko
powiększeniu budżetu wojskowego występować nie mogę i nie
będę, jest to rzecz ministra skarbu i mego szefa gabinetu; ja
przeciw nim także występować nie będę.

DNO OKA

czyli wrazenia człowieka chorego z sesji budżetowej w Sejmie
(5 kwietnia 1929 r.)

*Jednym z objawów walki między Sejmem a rządem
była sprawa t. zw. dodatkowych kredytów.*

*Wskutek pomyślnej ówczesnej sytuacji gospodarczej
zaczęły powstawać nadwyżki budżetowe to znaczy dochody
państwowe stawały się wyższe niż wydatki. Dawalo to mo-
żność użycia znacznych kwot na inwestycje niezbędne dla
potrzeb państwa jak n. p. na rozbudowę portu gdyńskiego.
Piłsudski, jako premier, nie chciał wydatków inwestycyj-
nych poddawać pod obrady Sejmu, z obawy, że Sejm w ów-
czesnym składzie nie potrafi nimi racjonalnie rozporządzić.
Sejm uważał, że w ten sposób pozbawia się go jednego
z jego praw.*

*Powstał spór czy rząd w ogóle ma prawo wydawać
jakieś sumy bez uprzedniej zgody ciał ustawodawczych,
a jeżeli to zrobił, to w jakim terminie musi uzyskać akcep-
tację tych wydatków przez parlament. Sejm był niezadowo-
lony, że rząd Bartla odraczał terminy wniesienia do Sejmu
odpowiednich ustaw i mógł dać wyraz swemu niezadowole-
niu w formie uchwalenia votum nieufności dla gabinetu.*

*Sejm nie mógł się zdecydować na tę otwartą taktykę.
Przy ówczesnym bowiem realnym układzie sił wiedział, że
nie może zmienić gabinetu Bartla na rząd uniezależniony
od woli Piłsudskiego.*

*Partie opozycyjne postanowiły więc skorzystać z usta-
wy o Trybunale Stanu, pozwalającej postawić w stan oskar-
żenia przed nim członków rządu. Ponieważ za przekrocze-
nia budżetowe był odpowiedzialny gabinet Piłsudskiego,
mógł Sejm pozwać Piłsudskiego przed Trybunał Stanu. Na
to jednak partie opozycyjne nie miały odwagi się zdobyć
i dlatego całe oskarżenie skierowały na Czechowicza, który
w rządzie Piłsudskiego i w rządzie Bartla piastował tekę
ministra skarbu.*

*Dnia 19 lutego 1929 r. wpłynął na plenum wniosek
o postawienie Czechowicza w stan oskarżenia przed Trybu-*

¹⁾ Senatorowi Gaszyńskiemu chodziło o stosunek Piłsudskiego do
sprawy podniesienia żołdu.

nałem Stanu. Dnia 26 lutego 1929 r. uzasadniał ten wniosek na posiedzeniu Sejmu pos. Woźnicki. Dnia 14 marca 1929 r. obradowała nad tym wnioskiem komisja budżetowa, postanawiając przedłożyć Sejmowi uchwałę postawienia Czechowicza w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu, a dnia 20 marca 1929 r. Sejm powziął, po referacie pos. Liebermana, taką uchwałę.

W związku z tymi faktami napisał Piłsudski niżej przytoczony artykuł pełen oburzenia na formę walki zastosowaną wówczas przez partie opozycyjne, uważając ją za niemoralną i nielogiczną.

Na podstawie notatki K. Świtalskiego na brulionie maszynopisu tego artykułu stwierdziliśmy, że był on napisany dnia 5 kwietnia 1929 r.

Artykuł podajemy według «Głosu Prawdy» z dn. 7 kwietnia 1929 r.

W zeszłym roku, gdy zapadłem na niewyjaśnioną dotąd chorobę i gdy grupa lekarzy badała mnie ze wszystkich stron, zaglądając w tajemnicę choroby, która mnie dręczyła, nagle jeden z nich tonem zupełnie zwyczajnym zawołał do swoich kolegów:

«Oto zapomnieliśmy, trzeba jeszcze Panu Marszałkowi zbadać dno oka, zrobimy to jutro».

Wyznam, że struchlałem, powiedzmy otwarcie — stchórzyłem; nie wiedziałem, że oko ma jakieś dno. Lecz gdy pomyślałem, że moje biedne oko gdzieś w swoim dnie będzie dotykane czy rękami, czy instrumentami, bałem się wprost panicznie takiej operacji. I chociaż pan doktor mówił o tym zupełnie obojętnym tonem, to mnie nie uspokajało. Bo o czym ci panowie lekarze zupełnie obojętnie nie mówią, — należy to do ich fachu. Odczucie mego tchórzostwa, do którego otwarcie się przyznaję, było mi niezmiernie przykre i wstydzilem się tego, jak jakieś głupie dziecko. A wiedziałem, że w tej chwili pobiegły już jakieś telefony, zamawiające jakieś nieznanne mi maszyny czy instrumenty, umawiają się o czas, kiedy moje nieszczęsne oko ma być w jakiś dziwaczny sposób może wyjmowane z orbity, dotykane jakimiś instrumentami czy rękami. Powtarzam, byłem i przerażony, i zawstydzony tym, że mogę tak stchórzyć. Wstydzilem się pytać dokładnie o tę sprawę, gdyż czułem, że obudzi się we mnie dziki bunt w obronie mego nieszczęsnego oka. Było to może dziecinne i śmieszne, lecz, niestety, tak było. Nazajutrz już rano miałem to badanie. Przyszędłem na to badanie cały spotniały, spotkałem zaś tak miłego doktora w wojskowym mundurze, gdyż badanie odbywało się w szpitalu Ujazdowskim, że to nieco mnie uspokoiło, gdy sobie powiedziałem, że wreszcie, w ostateczności strachu, mogę

tego doktora postawić na bacność i nie pozwolę mego oka ruszyć.

Nadzwyczajnie miłe i serdeczne ujęcie sprawy przez doktora i brak jakichkolwiek ostrych instrumentów, co od razu sobie zanotowałem po obejrzeniu gabiletu, zaczęło mnie uspokajać do tego stopnia, że już bardziej odważnie siadłem na wskazanym mi fotelu, a z zupełnym już odetchnięciem i ulgą usłyszałem wyjaśnienie, że zostawia mnie w zupełnej ciemności z jedynym obowiązkiem nacelowania oka w jednym tylko kierunku i patrzenia przez pewien czas w jakieś śmieszne aparaty, przypominające aparat fotograficzny. «To, to potrafię» — pomyślałem już z zupełnym spokojem i po kilku chwilach patrzenia w jakieś światelka, operacja została zakończona. I po co używać takich strasznych nazw dla prostej zupełnie operacji, i po co niepotrzebnie straszyć ludzi taką okropnością, jak badanie dna oka? Czy nie można tego zrobić rozumnie bez narażania na strach ludzi?!

Jeżeli tę całą śmieszność, należącą do historii personalnej, anegdotę opowiedziałem, to dlatego, iż w czynnościach większości sejmu istnieje także to straszne dno oka w postaci Trybunału Stanu. Nigdy dotąd w Polsce, pomimo i wielkich nadziej, nawet powiedzmy lajdactw, żaden minister nie był zaczepiany groźbą Trybunału Stanu, oprócz znanych wielkich brudów, związanych z ministerium finansów Kucharskiego, które zresztą nie zostały odesłane do prania w Trybunale Stanu, gdyż większość sejmowa z tym się nie zgodziła ¹⁾. Je-

¹⁾ Były minister Władysław Kucharski w czasie swego urzędowania, jako Minister Przemysłu i Handlu, zniósł w sierpniu 1923 r. zarząd przymusowy nad Zakładami Zyrardowskimi, który — wobec niechęci ze strony właścicieli uruchomienia i odbudowy zakładów — został w maju 1919 r. ustanowiony. Zarząd ten uruchomił i odbudował przedsiębiorstwo za pomocą uzyskanej od rządu pożyczki w wysokości 2,586.168 franków szwajcarskich. Znosząc zarząd przymusowy Władysław Kucharski zawarł z Tow. Akc. Zakładów Zyrardowskich umowę, w myśl której powyżej wspomniana pożyczka 2,5 mil. fr. szwajc. została zredukowana do 448.484 fr. szwajc., czyli do 17,3% swej wartości i polecił P. K. O. udzielić w tej wysokości pożyczki Tow. Akc. Zakł. Zyrardowskich na warunkach, umożliwiających — wobec ciągłego i coraz szybszego spadku marki polskiej — temu Towarzystwu spłatę zaciągniętej w kwocie 448.484 fr. szwajc. pożyczki — przez zwrot tylko 18.810 fr. szwajc.

Dnia 2 kwietnia 1924 r. posłowie Pączek, Moraczewski i inni wnieśli do Sejmu wniosek, by oskarżyć za to Władysława Kucharskiego przed Trybunałem Stanu. Wniosek ten był rozpatrywany przez Sejm na posiedzeniu 17 grudnia 1924 r. Za wnioskiem głosowało 175 posłów, przeciw — 138, zabrakło więc wymaganej kwalifikowanej większości,

dynie zacięty poseł Moraczewski, który sprawę przeciwko Kucharskiemu prowadził, został i wysmiany, i zlekceważony za chęć dotknięcia jakiegokolwiek ministra Trybunałem Stanu. Zdarzyło się to jednak po raz drugi w naszej historii w stosunku do kolegi mego p. ministra finansów Czechowicza, człowieka, który pracą swą uporządkował otrzymany w zupełnym nieporządku system podatków i doprowadził swą pracą państwo do tego, że przykładem świecić może wszystkim innym państwom, gdy Polska przy jego zarządzie skarbem dotąd bilansuje swój budżet nie deficytem, lecz przewyżką dochodów nad wydatkami ¹⁾).

Czyżby więc obecny sejm, sięgając do tak wyjątkowych praw, jak Trybunał Stanu, chciał w ten sposób powiedzieć, iż woli brudy i nadużycia, niż uczciwą pracę?

Nie mogę nie powiedzieć także, że ta próba sejmu ma jedną stronę, która zaprzecza wszelkiemu poczuciu najzwyczajszej, najprostszej sprawiedliwości.

Byłem wtedy na nieszczęście ciężko chory, tak, iż przypuszczałem, iż jedną nogą stoję po tamtej stronie życia, i dlatego byłem mocno zobojętniały na wszystkie zjawiska tego świata. Pamiętam jednak dobrze, że przyjechał do mnie p. Bartel, szef naszego gabinetu, stwierdzając mi początek owej operacji, straszącej Trybunałem Stanu, pytając mnie o moje zdanie w tej sprawie. Odpowiedziałem, że uważam siebie osobiście, jako szefa byłego gabinetu, za odpowiedzialnego za te przekroczenia t. zw. ustawy skarbowej, które są związane z budżetem inwestycyjnym. Pamiętałem bowiem dokładnie, iż całe moje staranie, bardzo usilne, kierowałem zawsze dla zgwalcenia p. Czechowicza, aby wszystko to, co jest inwestycją, nie szło pod obrady sejmowe. Zawsze bowiem obawiałem się, że wtedy

gdyż do postawienia ministra w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu niezbędna była większość 3/5 oddanych głosów.

¹⁾ Gabriel Czechowicz był ministrem skarbu w gabinecie Piłsudskiego od dn. 2 października 1926 r. do dn. 27 czerwca 1928 r. i w gabinecie Bartla od dn. 27 czerwca 1928 r. do dn. 8 marca 1929 r.

Zamknięcia rachunków państwowych z tego okresu wykazują następujące nadwyżki budżetowe:

w czasie od 1 kwietnia 1926 r. do 31 marca 1927 r. —	zł 160,375.323
» » » 1 » 1927 » » 31 » 1928 » —	» 214,663.121
» » » 1 » 1928 » » 31 » 1929 » —	» 167,272.890

podczas gdy w okresie od 1 stycznia 1926 r. do 31 marca 1926 r. był niedobór budżetowy w wysokości zł 53,540.444.

będzie nie inwestycja, ale zgodnie z tradycją sejmu lekkomyślne trwonienie pieniędzy podatkowych. P. Bartel mi odpowiedział, że on to dobrze rozumie i że nie może także, jako szef obecnego gabinetu, pozwolić na oskarżanie jednego z ministrów bez swojej za niego odpowiedzialności. Dodał przy tym, że będąc głównym czynnikiem pracy gospodarczo-finansowej, nie mógł także często nie gwałcić p. Czechowicza, który u nas w gabinecie należał do najostrożniejszych ministrów pod względem funduszków skarbowych. Zakończył zaś krótką wizytę u mnie stwierdzeniem, że zgłosi natychmiast swoją solidarność z oskarżonym ministrem i że będzie żądał raczej Trybunału Stanu dla siebie, niż dla ministra Czechowicza ¹⁾.

Gdy ja myślę o sądach, jako o próbie wymiaru sprawiedliwości, to od razu stwierdzę, że nie ma na świecie takiego sądu, któryby się ośmielił zneglizować oświadczenia czyjegokolwiek, że oskarżony nie jest winien, a winien jest oświadczający. Jest to tak zgodne z wymiarem jakiegokolwiek sprawiedliwości, że gdyby znalazł się sąd, któryby tej prostej prawdzie sprawiedliwości zaprzeczył, toby otrzymał nazwę nikczemnego sądu, i gdyby w ucieczce od skutków nikczemności schował się w mysią dziurę, to tam jeszcze nadeptać go nogą trzeba, ażeby znikł i zdechł, jako próba wymiaru sprawiedliwości. I czy wezmę najwyżej rozwinięte sądy, jak w anglosaskiej rasie, czy w dzikim i krwiożerczym plemienu jakichś

¹⁾ Na posiedzeniu Sejmu z dnia 19 lutego 1929 r. premier Bartel oświadczył co następuje: «Wobec zapowiedzianego wniosku o pociągnięcie do odpowiedzialności konstytucyjnej Ministra Skarbu p. Czechowicza za przekroczenie budżetu na r. 1927/28 i nie przedłożenie dotychczas Sejmowi ustawy o kredytach dodatkowych, stwierdzam: 1) przekroczenia budżetowe czynione były przez wszystkie rządy poprzednie z tą różnicą, że przeważnie nie były one nawet wnoszone na Radę Ministrów, ale decydowane wyłącznie przez ministrów skarbu. Tym nie mniej nie usiłowano nigdy pociągać ministrów skarbu do odpowiedzialności konstytucyjnej; 2) kredyty dodatkowe w r. 1927/28 były otwierane nie inaczej, jak na podstawie uchwały Rady Ministrów w każdym poszczególnym wypadku po stwierdzeniu przez Rząd konieczności państwowej i 3) uzależnienie terminu przedłożenia ustawy o kredytach dodatkowych od ukończenia zamknięć rachunkowych jest stanowiskiem rządu jako całości, czemu dałem już kilkakrotnie wyraz na komisji budżetowej.

W związku z powyższym uważam, że wniosek skierowany wyłącznie przeciwko osobie Ministra Skarbu jest nieusprawiedliwiony. Wywolać on może niepożądane dla finansów państwowych komentarze w opinii kraju i za granicą.

Jeżeli Wysoki Sejm uważa, że ten stan uzasadnia odpowiedzialność konstytucyjną, to wniosek odnośny winien być skierowany przeciwko całemu rządowi».

Zulusów czy Botokudów ¹⁾, wszędzie sąd taki byłby nikczemny. Nawet przy krwawych rozprawach sądów wojennych podczas wojen i walk bratobójczych, walk domowych, taka nikczemność nie jest i nie była dopuszczalna. Może jedynie wśród ludożerczych plemion Papuasów, czy innych im podobnych, wybierają przy takich sądach dla wspólnej uczytłustszych, a akurat p. Czechowicz był tłustszy.

I gdy pomyślę, co może prowadzić ludzi do tego rodzaju znikczemnienia, to nie mogę nie powiedzieć, że usprawiedliwić i wyjaśnić to znikczemnienie może jedynie przyzwyczajenie do w ogóle nikczemności zwyczajów i obyczajów sejmu w Polsce. W tych zwyczajach i obyczajach leży wychowanie posła w sposób najbardziej nieprzyzwoity, najbardziej hultajski, jaki sobie wyobrazić można, gdyż główna myśl i główne staranie tych panów jest zawsze o utrzymanie zupełnej bezkarności posła za wszystkie jego czynności, chociażby najbardziej nieprzyzwoite i najbardziej sprzeczne z najelementarniejszym poczuciem honoru. Polska przecie chowała swych posłów w pierwszym sejmie, t. zw. suwerenów, w bezkarności zdrady państwa podczas wojny, bezkarności płatnego szpiegostwa w stosunku do armii, będącej w polu i umierającej za ojczyznę. W drugim zaś sejmie, w którym bodaj połowa posłów pochodziła z owej kuźni zdrady państwa, posłowie wychowywali się w korupcji, tak dalece sięgającej i tak często uprawianej, że głos posła kosztował niekiedy nie więcej, jak 50 złotych. Z tej zaś błotnistej prawdy sejmu wyszło przecie do 110 posłów i w obecnym sejmie.

W tej amoralnej atmosferze, w tej atmosferze «moral insanity» ²⁾, słabe głowy tak przesiąkają swoją niczym nieusprawiedliwioną wielkością, że staje się dość niemożliwym obcowanie z takimi ludźmi, tak, powiedzmy, jak dość trudnym jest obcowanie nawet dla lubiących bardzo dzieci z dziećmi z zakładów poprawczych. Ci panowie, konkurujący wiecznie z jedynym suwerenem państwa, gdyż sami się czują suwerenami, dochodzą w swoim postępowaniu — powtarzam, przy bardzo słabych często głowach — do mniemania, że jeżeli brzuch go zaboli i jest z tego powodu w złym humorze, to to jest najważniejszy wypadek dla całego państwa. A gdy się pan taki zafajda, to każdy podziwiać musi jego zafajdaną bieliznę, a jeżeli przy tym zdarzy mu się wypadek, że zabzdzi, to to jest

¹⁾ Zulusi jest to szczep afrykańskich Kafrów, zamieszkujący Afrykę południową; Botokudzi jest to szczep Indian, koczujący we wschodniej Brazylii.

²⁾ Zgnilizna moralna.

już prawo dla innych ludzi, a najbardziej dla ministrów, którzy muszą nie pracować dla państwa, ale obsługiwać i faga-sować tym zafajdanym istotom.

W sposobie zachowania się wychowywanych w «moral insanity» panach jest coś tak bezczelnego i tak ściemniającego pod względem umysłu, gdyż nawet idiotyzm jest bezkarny — a nieszczęsna Polska i to szanować musi — że każdy cokolwiek rozumny człowiek z trudem wytrzymuje to towarzystwo, gdy wymagają od niego, żeby szanował głupstwa, chociażby pluł sobie potem w oczy, żeby milczał, gdy go obrażają, i li-zał ich zafajdane ubranie.

Do tego doprowadziło to gwałtowne staranie o bezkar-ność za wszelką zbrodnię, do tego prowadziło czynienie z sejmu związku zawodowego ludzi chorych na fajdanitis poslinis. I trzeba nie mieć wstydu, zatracić go zupełnie, żeby w tym fajdanitisie poslinim widzieć główny «prestige»¹⁾ sejmu.

Jednym z moich licznych projektów dla uleczenia tego raka życia polskiego była myśl o daniu przed wysłuchaniem ministra korepetytorów dla panów posłów dla nauczania, jak rozumnie stawiać pytania. Lecz porzuciłem tę myśl, gdyż nie wątpiłem, że panowie posłowie odmówią wycofania części ich gaży dla opłaty korepetytorów i w dodatku przy chorobie na fajdanitis poslinis nie można przecie pedagoga bez różgi po-stawić dla nauczania.

W tych warunkach praca tych, co krajem rządzą i któ-rzy tyle roboty swojej wkładają w swoje resorty, że praca ich przewyższa najczęściej przeciętnie wymaganą ilość pracy ludzkiej, w tych warunkach — powtarzam — życie takich mini-strów z panami, chorymi na fajdanitis poslinis, stać się musi jakąś katorgą nie do zniesienia. To też nigdy nie zapomnę określenia jednego z najinteligentniejszych naszych ministrów, że po rozmowie musowej dla niego z panami posłami ma on wrażenie, że wyszedł z menażerii, zapełnionej złośliwymi mał-pami, załatwiającymi wszystkie swoje potrzeby publicznie i nie starającymi się wcale być podobnymi do ludzi. I, doprawdy, nigdy nie rozumiem, jak w takim fajdanitis poslinis szukać ja-kiegoś «prestige'u» sejmu, kiedy to tylko obniżenie człowie-czeństwa.

Przy takiej charakterystyce panów z większości sejmo-wej może i można znaleźć wytłumaczenie tak nienaturalnie skonstruowanej prawdy o sprawiedliwości, jaka była zastoso-

¹⁾ Godność.

wana w sejmie do p. Czechowicza, z jakimś bezczelnym negliżowaniem oświadczenia p. Bartla, do czego ja, będąc tak ciężko chory, przyłączyć się nie mogłem. Taka nikczemna sprawiedliwość nie może być wytłumaczona inaczej, jak nabytymi przez dłuższy czas przyzwyczajeniami do ludożerstwa, gdzie wybór pada na tłustszego, tym bardziej, że rozporządza workiem złota.

Przechodzę jednak do wrażeń człowieka chorego, który, powtarzam, był mocno zobojętniały na wszystko, prócz może własnych dzieci. P. Bartel, jako szef gabinetu, przyszedł do mnie raz jeszcze na krótką bardzo chwilę, chcąc przed gabinetową radą ministrów wziąć i moją opinię o sytuacji parlamentarnej. Powtórzyłem mu swoje zdanie wyżej wymienione raz jeszcze i radziłem, żeby p. Czechowicz, jako oskarżony, negliżował całą sytuację tak dalece, że nie chodziłby na jakiegokolwiek posiedzenia, związane z jego oskarżeniem¹⁾. Dodałem, iż należy przypuszczać, że budżet będzie odrzucony i że wobec tego musi nastąpić zmiana gabinetu i cały kłopot spadnie na głowę Pana Prezydenta. Prosiłem więc, aby powiedział Panu Prezydentowi, że wydaje mi się, iż wszelkie niebezpieczeństwo życia zaczyna ode mnie się już odsuwać, i że Pan Prezydent w zupełności liczyć może na mnie, jako tego, co gabinet poprowadzi.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy nazajutrz, czy w dzień potem spadł do mnie p. Bartel, z przerażeniem stwierdzając, że na radzie gabinetowej ministrowie nie dali sobie rady z samym p. Czechowiczem, który chciał widzieć swój honor urażony, gdyby nie stanął do odpowiedzialności, gdy jego właśnie mogą oskarżać o jakieś nadużycia skarbowe. Stwierdził mi, że p. Czechowicz jest tak rozdrażniony i tak się czepia uraz swego honoru, że sesja skończyła się niczym. Wzruszyłem na to ramionami, gdyż gdzież szukać honoru u jakichś małp? Odpowiedziałem jednak, że my nie możemy stanąć w takim razie na innym stanowisku, jak że honor jest zawsze indywidualnie pojmowany i że my w żadnym wypadku honoru swego kolegi narazić nie możemy. W ten sposób stanął p. Czechowicz do rozpraw sejmu²⁾. Ja nie chcę urażać honoru p. Cze-

¹⁾ Na posiedzeniu komisji, do której wniosek o pociągnięcie Czechowicza w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu odesłano, odbyłym dnia 2 marca 1929 r. nie było żadnego reprezentanta rządu.

²⁾ Stało się to na drugim posiedzeniu komisji, do której wniosek o pociągnięcie Czechowicza w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu odesłano, odbyłym dnia 8 marca 1929 r. Czechowicz wystąpił na niej jednak już w charakterze ministra «in statu demissionis», gdyż tego dnia złożył podanie o dymisję.

chowicza, lecz doprawdy po co honor w brudnych miejscach umieszczać?

Wyznam, że będąc chorym, przeczytywałem dwa pisma, ot tak, dla zabicia czasu, i dlatego mogę spokojnie postąpić odpowiednio do tytułu, że piszę tylko o wrażeniach chorego człowieka. Albowiem w kwestii zasadniczej oczekiwałem, jako prostej logiki zdarzeń, odrzucenia budżetu p. Bartłowi i więcej myślałem o tym, jak postąpię przy formowaniu gabinetu, niż o detalach pracy panów ministrów w sejmie. Posyłałem codziennie Panu Prezydentowi zapewnienie, że czuję, iż powracam do zdrowia i że z zupełnym spokojem na mnie będzie mógł włożyć obowiązki formowania nowego gabinetu. Nie mogę jednak nie powiedzieć, że różne perypetie, które się zaczęły dziać z p. Czechowiczem w ludożerskim towarzystwie, niezmiernie mnie bawiły.

Po pierwsze wyskoczył tam nagle jakiś Lieberman, jako główny tenor w tej smrodliwej operce. Pan ten ciągle stawiał jakieś tezy, tak, jak gdyby był Lutrem, chcącym te tezy przybić do wrót kościelnych. Gdy starałem się zrozumieć cel i treść tych tez, co kilka dni wyrzucanych na świat, tom ani razu nie mógł dojść do ich pojęcia i zrozumienia. Gdym zmęczony chorobą wieczorami niekiedy sobie przypominał tę śmieszna komedię, to zawsze widziałem, jak ten Lieberman występuje jako fakir i stwierdza, że on zaraz tak się zakręci, że nóg nie będzie widać wcale, a tylko kręcący się w młynku tułów, lecz za to skądś wydobędzie tezę, którą rzuci zdumionemu światu. I widziałem istotnie, jak Lieberman powoli tracił nogi, nie opierając się zupełnie na ziemi, jak widocznymi były poły fraka adwokackiego, unoszące się nad jego brzuchem i odwrotną częścią ciała, i jak to z gęby, to z innych części ciała wydobywał jakieś kulki, rzucając nimi dokoła siebie. Lieberman był to komiczny dyszkant opery sejmowej. Ciężkim zaś i bardzo ciężkim tenorem był niejaki p. Woźnicki.

Ten pan, jak zresztą i Lieberman, już posłuje w trzecim sejmie, jest więc żelaznym posłem i do niego w całej rozciągłości zastosować można to, co mówiłem o chorobie fajdanitis poslinis.

Znałem tego pana od dawna, gdy w pierwszym jeszcze sejmie zajmował stanowisko t. zw. mego sympatyka ¹⁾. Był już wtedy bardzo ciężki na umyśle, tak, że nieraz rozmowę kończyłem propozycją, aby może zechciał o swoich wysokich my-

¹⁾ Posel Woźnicki był członkiem «Wyzwolenia», które sprzyjało Piłsudskiemu.

ślach pomówić z moją Wandą, wówczas jeszcze dwuletnią, zamiast rozmawiać ze mną. Gdy zaś stał się już teraz ludożercą, polującym czy na tłuszcz p. Czechowicza, czy na jego worek, to stęzał mocno w swoim umyśle. Przypominam sobie z bardzo dawnych czasów, gdy wypadkowo, zastępując swego kolegę, miał coś w rodzaju korepetycji chłopca, chcącego złożyć egzaminy z czterech klas gimnazjalnych, i pamiętam dobrze, jak musiałem jemu wyklądać algebrę, która rozpoczynała swą wędrówkę po główkach chłopców już w klasie trzeciej. Osobiście, będąc bardzo zdolnym chłopcem, nie mogłem sobie przypomnieć, aby te początki algebry stanowiły dla mnie jakąkolwiek trudność. Jakież jednak było moje zdumienie, gdy nie mógł tego biednego chłopca przekonać, że jeżeli dodamy do a b , to suma będzie $a + b$, gdyż ten nieszczęśliwiec uważał, że to będzie ab , czyli zmieniał dodawanie na mnożenie. Pracowałem nad tym zagadnieniem cierpliwie dwa długie tygodnie co dzień, tracąc z dniem każdym cierpliwość i możność posiadania jakiejkolwiek względności dla tego biedaka. Biedny chłopak w końcu drugiego tygodnia, przy podejściu do tej tak prostej dla mnie kwestii, zaczynał potnieć tak gwałtownie, że zdawało mi się zacznie mdleć. Sama jednak kwestia nieszczęsnej abstrakcji, związana z pojęciem wielkości « a i b », nie udawała mu się ani razu, gdyż jego biedny umysł przerabiał to ciągle na zwykłe litery a i b . A mój kolega nie przyjeżdżał i z obowiązku musiałem to nieszczęście ciągnąć dalej. W końcu po dwóch tygodniach straciłem zupełnie cierpliwość i ja, który nigdy dziecka palcem nie dotknąłem, zdecydowałem, że jedyną formą nauczania takiego hebesa jest sieć go różgami, tak, by przynajmniej mechanicznie odzwyczaił się od głupiego mieszania liter z wielkościami matematycznymi.

Ten nieszczęsny biedak żywo mi przypomina p. Woźnickiego, posła z trzech sejmów i ludożercę, polującego nie wiadomo czy na tłuszcz p. Czechowicza, czy na jego worek. Naturalnie, zdarzają się takie wypadki, że wielki Stwórca świata komuś zapomni zawiesić w głowie latarnię. I cóż na to poradzisz? Czyż można Panu Bogu zaglądać w Jego kuchnię ludzką? A może wielki Stwórca w Swym miłosierdziu nad naszą biedną i skołataną ojczyznę chciał z tego durnego hebesa stworzyć ilustrację bodaj najjaskrawszą, jak fajdanitis poslinis jest nie tylko nikczemnym, ale i idiotycznym. Niewątpliwie wielkie przysłowie polskie twierdzi, że lepiej z rozumnym przegrać, niż z durniem wygrać. Przysłowie słuszne i dlatego fajdanitis poslinis, gdy jeszcze jest piekielnie głupim, jest najbar-

dziej wstrętnym i obrzydliwym. Bo trudno, latarnia w głowie nie zawieszona i może się stworzyć przysłowie «głupi, jak Woźnicki», ale za to każdy minister ma słuchać z powagą głupstw tego pana, paskudnych jego oskarżeń i ma zafajdaną i zapoconą od wysiłku myślowego zawodowego idioty bieliznę jeszcze lizać.

Kiedy więc, słuchając przy słabnącej już gorączce radia sejmowego, w którym to komiczny dyszkant Liebermana, to tępy do niemożliwości tenor Woźnickiego się rozlegał, myślałem wciąż, że logicznym zakończeniem tej fajdanistycznej opery musi być odrzucenie budżetu. Tymczasem w tej nieodpowiedzialnej a zafajdanej dostatecznie atmosferze i logika nie obowiązuje. Zamach na Czechowicza, który może trochę tłuszczu stracił, lecz worka nie popuścił, został zakończony tryumfalnym marszem fajdanów poselskich z protestem nowego prądu zbawczego dla Polski, a reprezentowanego przez klub bezpartyjny. Natomiast budżet rządu, który się solidaryzował i ciągle to powtarzał z oskarżonym przed Trybunałem Stanu p. Czechowiczem, budżet ten został uchwalony ¹⁾ i w ten sposób rząd otrzymał tak, jak votum zaufania.

Cała więc sprawa stanęła tam, gdzie istnieje fajdanitis poslinis, to jest w jakimś błocie. To znaczy marsz tryumfalny dla «prestige'u» fajdanitis poslinis, dla jego wielkości i znaczenia, natomiast umizg do jedyne go możliwego obecnie rządu może o worek pieniędzy. W ten sposób jakoby rośnie «prestige» sejmu i chorych na fajdanitis poslinis posłów. Najciekawszym jest, że rząd, którego główni przedstawiciele solidaryzowali się z oskarżonym, ma teraz dla większego «prestige'u» fajdanitis poslinis organizować Trybunał Stanu na jednego ze swoich kolegów i mają siebie tak zhańbić, jak się zhańbiła większość sejmowa ze swoją sprawiedliwością. Rząd ma się postawić na równi jednakowej ze śmierdzącym fajdanityzmem. Jeżeli, czegobym zresztą w tym wypadku życzył, miałbym być prezesem gabinetu, to oświadczam publicznie, że Trybunał Stanu nie ośmieli mi się zebrać ani razu, gdyż takiej równi z fajdanami ja sobie nie życzę.

Dodatkowy zupełnie przysmaczek, całkiem już oryginalny, o którym się dowiedziałem, jest ten, że do ostatniego posiedzenia budżetowego sejmu ²⁾, jakby dla upiększenia cho-

¹⁾ Budżet na r. 1929/30 został uchwalony przez Sejm w trzecim czytaniu dnia 11 lutego 1929 r.

²⁾ W dniu 29 marca 1929 r.

rych na fajdanitis poslinis ludzi, ściągano do sejmu jakieś bojówki partyjne. Żałuję mocno, że byłem tak chory, że nie mogłem być czynnym w tym dniu, gdyż nie mógłbym po prostu wytrzymać bez ataku na te bojówki, złożone z bandytów, którychbym osiekl publicznie na podwórzu sejmu. Cóż to za nowe magnaty polskie, zbierające swoje wojska dlatego, by Polska nierządem stała, cóż to za takie prawa przyswaja sobie fajdan poselski, żeby bandyckie sfory czynić udziałem w pracach państwowych? Wyznam, że podziwiam pana ministra spraw wewnętrznych, że mógł pozwolić na takie bezecństwa. Usprawiedliwienie może jedyne ma p. Składkowski w tym, że zastępować musiał chorego szefa gabinetu, lecz oświadczenie ostrzegam, że fajdanizm w tym wypadku idzie za daleko i że pan fajdan wraz z bandytami może znacznie więcej odpowiedzieć, niż sobie wyobraża, za takie bezecne czynności.

Pomijając ten bohaterski bas bandytów fajdanistycznych, cała afera sesji budżetowej skończyła się komizmem, który, jak mówiłem, już jest obrzydliwy i wstrętny. Ośmieszono i znieważono wszystko: i sejm, i rząd, i nieużywane dotąd słowo Trybunał Stanu, wymalowano wszystko na kolor fajdanów. I teraz, gdy niekiedy spokojnie na tę bzdurę patrzę, to jednak przypomina mi się moje biedne dno oka. Ten Trybunał Stanu jest zdumiewająco podobny do dna oka. Przepraszam zaś z góry jak najmocniej i najsilniej sympatycznego doktora, ubranego w mundur, że go do jakichś fajdanów przyrównuję. Nie chciałbym go w żadnym wypadku tak głęboko obrażać. I naturalnie różnica dna oka, tego tajemniczego dna zwyczajnego człowieka, nie może być podobna do stwardniałego oka, używanego oka do wszelkich nadużyć i łajdactw, z którymi my mamy do czynienia przy fajdanitis poslinis, oka, które kary żadnej nie chce mieć.

Kto wie, może przy użyciu stameski ¹⁾i młotka, takie dno oka da także jakieś tajemnice, nam dotąd nieznane. A chowane tak gorąco w ciepłe upragnionej bezkarności i nieodpowiedzialności nawet honorowej, której żądają i życzą stale panowie posłowie, jeszcze raz z zaszczytnym wyjątkiem największego klubu sejmowego, klubu Bloku Bezpartyjnego, gdy zazna odpowiednich instrumentów, może się nauczyć choć wstydu i przyzwoitości.

¹⁾ Dłuto.